





Grzędowicz Jarosław

Grzędowicz Jarosław

Jarosław Grzędowicz (ur. 3 maja 1965 we Wrocławiu) -

polски pisarz fantasy.

Debiutował w roku 1982 opowiadaniem
Azyl dla starych

pilotów, zamieszczonym w tygodniku
"Odgłosy". W tym

samym roku i w tym samym periodyku
zamięcił utwór

Twierdza Trzech Studni.

W 1990 razem z Rafałem A.
Ziemkiewiczem, Andrzejem

Łaskim, Krzysztofem Sokołowskim i
Dariuszem

Zientalakiem założył magazyn literacki "Fenix". Od roku

1993 aż do ostatniego numeru czasopisma w 2001 był

jego redaktorem naczelnym. Obecnie jest dziennikarzem

w "Gazecie Polskiej" oraz zajmuje się tłumaczeniem

komiksów. Jego opowiadania publikowane były w

"Nowej Fantastyce", "Feniksie", oraz wielu antologiach

science fiction. W roku 2003 ukazał się

zbiór jego

opowiadań grozy *Księga jesiennych demonów* (Fabryka

Słów), w 2005 pierwszy tom powieści *Pan Lodowego*

Ogrodu (Fabryka Słów) (tom drugi w 2007 roku), a w

2006 powieść *Popiół i kurz. Opowieść ze świata*

Pomiędzy (Fabryka Słów), która jest kontynuacją

opowiadania *Obol dla Lilith*.

Naleŝy do Stowarzyszenia Pisarzy
Polskich. Jest męŝem

Mai Lidii Kossakowskiej.

Pocałunek Loisetty

– To prawda, co o panu powiadają,
mistrzu Dourville?

– A co takiego?

– Ŝe umie pan wejrzeć w winę
człowieka, Ŝe kaŝdego łotra widzi pan
na wylot, jakby byli

ze szkła. Ŝe nic się przed panem nie
ukryje.

– Prawda, panie dragonie –
odpowiedział Dourville. – Ale tylko
tych, którzy są mi
przeznaczeni.

– A jeśli okaże się, że są niewinni?

– To zależy. U nas w Corvignac prefekt
mnie zna. Pokazuje mi w sekrecie
delikwentów,

zanim wyda wyrok. A gdzie indziej...
mamy rewolucję. Nie mogę kapryścić.

– Ścina pan?

– Taki fach, panie oficerze. Jak i pański.

Rotmistrz zamilkł, przygryzając wąsy.
Dourville patrzył na niego spod
podróŜnego,

trójgraniastego kapelusza. Woda
ciurkała z dziobu zawiniętego runda jak
z rynny, mlaskała pod

obręczami kół, chlapała pod końskimi
kopytami.

Rotmistrz dąsał się przez chwilę na takie
porównanie, ale widać było, Ŝe rozpira
go

ciekawość. Co chwila zerkał na wóz. Na
opakowane nasmołowanym płótnem
skrzynie, w

których jechała.

Loisetta... Jego ukochana.

Jego najśłodsza przyjaciółka. Loisetta.

– Trzyma ją pan w domu?

– A gdzie? Indziej? Mam suchą szopę.
Dziadek ją jeszcze zrobił.

– Straszne. A co na to pana Sona?

– A pan szablę, panie rotmistrzu, gdzie trzyma?

Chłopi wychodzili na drogę pomimo ulewy i w milczeniu patrzyli na wóz o barwie byczej

krwi, toczący się drogą w eskorcie dragonów. Na skrzynie pod mokrym płótnem. Przybyła...

Sprawiedliwość.

Ktoś się prześmiał. Jakaś kobieta zasłoniła usta w przerażeniu.

Za wozem toczyła się kolasa. Justyna siedziała w milczeniu, z głową nakrytą mantylą.

Milczała tak od tygodnia i będzie milczeć jeszcze tydzień po egzekucji. W milczeniu będzie kłaść

się spać i milcząc, wstanie rano blada, z sińcami pod oczami. Będzie modlić się i

milczeć.

Wzdychać i odwracać się do ściany.
Jemu zostanie tylko to jej milczenie i
wino. I sny.

Loisetta.

Jestem głodna – krzyczała w jego snach
Loisetta, Bosa, z nagą piersią, z dzikimi
oczami

pod frygijską czapką. Będzie tańczyć
karmaniołę na przesiąkniętych posoką
trocinach. Dopuści

go do siebie tylko po egzekucji. Tylko
raz.

Pośród ogni i dziko tańczącego,
bezglowego tłumu. W krwawym
deszczu.

Jestem głodna.

Dourville wzdrygnął się i trącił nogą
Barnabę, siedzącego z przodu na koźle.
Pomocnik

szafotowy nawet na niego nie spojrział,
tylko od razu podał bukłak z winem.

Lało coraz mocniej. Kiedy wjechali do
Montesour, ulice były puste. Górą, nad
dachami,

ciągnęły rozmazane, szare chmury.
Krakały wrony.

– Dawnymi czasy musielibyśmy zatrzymać się pod miastem – powiedział Dourville.

– Stanie pan w zajeździe „Pod tańczącym kapłonem” bardzo stosowna nazwa – zakpił

rotmistrz. – Potem ma się pan zameldować w merostwie. Teraz mamy wiek rozumu, jesteśmy

nowocześni. MoŜe pan juŜ wchodzić w mury miasta.

– Doceniam, obywatelu. Co byłoby z republiką, gdybym w nie nie wchodził?

Zajazd stał prawie w rynku, nazwanym

placem Bławatnym. Belkowany strop,
ciemne

wnętrze, okopcone ściany. Pachniało
kapustą, bazylią i skwaśniałym winem.

Dourville zrzucił mokry, skórzany
płaszcz i podróŜny kapelusz, załoŜył
suche odzienie.

– Zjedzcie kolację z Barnabą i
Ludwikiem. Ja idę do prefekta. Potem
niech mały szybko

idzie spać. Rano ma być wyspany.

– Czy to... juŜ jutro? – wyjąkała Justyna.

– Nie.

– Nie zmuszaj mnie, Œebym go
przyprawadzała. To nie jest widok dla
chrzeŒcijaŒskiego

dziecka.

– To jest dziecko wieku rozumu i
rewolucji. I gilotyny. ChrzeŒcijaŒstwo
się skoŒczyło –

warknał sucho.

– JesteŒ potworem.

– Jak kaŒdy człowiek, Justyno.

– Dlaczego za ciebie wyszłam?

– Bo nikt cię nie chociał, kobieto. JesteŒ

córką kata i Śaden z tych hipokrytów nie
zechce cię

tknąć nawet kijem. Mogłaś wyjść tylko
za kata i urodzić kata. Bo brzydzą się
nas, a nie umieją

bez nas Śyc. Takie jest twoje miejsce na
ziemi, niewiasto. Poza mną nikt cię nie
chce.

– Ty teŚ mnie juŚ nie dotkniesz. Masz
krew na rękach.

– Bądź zdrowa, Justyno.

Postawił kołnierz płaszcza i poszedł do
merostwa. Wokół wozów na placu
Bławatnym

mimo deszczu zebrało się już kilkoro
gapiów i usiłowało dotknąć mokrych
płacht, pod którymi

spała Loisetta. Rotmistrz wystawił
pikietę czterech wartowników z
muszkietami. Opodal cieśle

wyładowywali deski i belki na budowę
szafotu. Powinien dawno już stać.
Amatorszczyzna.

Prowincjonalna dziura. Dourville wyjął
cienkie cygaro i odgryzł końcówkę, po
czym pogardliwie

wypluł ją na mokry bruk.

W tłumie zobaczył ją albo tak mu się

zdawało. Przemoczone, wijące się
kędziory, dzikie

oczy pod frygijską czapką. Jego
ukochana...

Nie. To była tylko jakaś zwykła
dziewoja.

Prefekt był niskim, grubawym
jegomościem. Co chwila drapał się pod
sfilcowaną peruką

i zacierał pulchne dłonie, jakby panował
mróz.

– Eee... pan jesteś mistrz Dourville?

– W rzeczy samej, sire.

– Szafot już kazałem postawić. Ma pan jeszcze jakieś Śyczenia, obywatelu?

– Cztery worki trocin. Kosze wiklinowe. Cztery. Nie wyższe niż na dwie stopy. Chciałbym

móc, za pozwoleniem, porozmawiać z cieślą. Szafot ma mieć poręczę. Solidne.

– Pan nosi szpadę, obywatelu Dourville? – odezwał się chudy jegomość w czerni,

z trójbarwną kokardą przypiętą do surduta.

– To rewolucyjny prokurator, obywatel Sarrate – przedstawił prefekt.

– Przywilej mego urzędu, sire –
odpowiedział Dourville.

– BurŜuazyjny przywilej, jak mniemam?

– Bardzo stary, sire. A rewolucja go nie
zniosta. Śmiem twierdzić, Œe teraz
bardziej

potrzebny niŜ kiedykolwiek.

– Kiedy postawi pan... machine?

Zawsze ta sama ciekawość, pomyślał
Dourville. PrzeraŜa ich i fascynuje.
Kupuj jej

miniatury i stawiaj na kominkach.
Obcinaj nimi cygara, daj dzieciom do

zabawy. Kobiety

teraz upinają włosy powyżej linii cięcia
i zakładają szkarłatne wstążki na szyje,
tam gdzie

Loisetta złoży swój pocałunek. Machina
dyktuje nawet modę. A przecież śladne z
nich nie siądzie

ze mną do stołu. Nikt nie poda mi ręki.
Stroją się w piórka prefektów, sędziów i
prokuratorów,

ale zawsze zadają te same dziecinne
pytania: jak pan myśli, czy potem głowa
jeszcze żyje, czy

ciało? A czy to boli? A ilu ludzi już pan

ściął? A nie dręczą pana koszmary? A
trzyma pan ją w

domu? Nie przestanie ich fascynować,
są w jej władzy. To Loisetta rządzi
Francją. Liczy się

tylko jej głód. Obudzili ją. Tylko nie
zdają sobie z tego sprawy.

Podejrzewają, że nikt już tego nie

pilnuje, nikt nad tym nie panuje.

Codziennie spada topór. Dziesiątki, setki
razy. Bez wyboru.

Loteryjka. Widzą to, odkąd pojechała
nawet Dantona. Loisetta jest głodna.

– Pan pobladł, obywatelu – sucho

zauwaŜył prokurator. – Pana mierzi
nasza rewolucyjna

sprawiedliwość? Tak jak tego
paryskiego oprawcę... Henriego
Sansona?

– Sansonowie ścięli nawet króla, sire.
Nasza robota – ciąć. Wasza, wskazywać
kogo.

– Rewolucja wymaga ofiar, obywatelu
Dourville.

– Do usług, sire.

– Wśród rojalistów będą teŜ trzy
kobiety. To robi panu jakąś róŜnicę?

Zawsze te same pytania.

– Za pozwoleniem, mnie nic nie robi róŜnicy.

– Doprawdy? Źadna to róŜnica Źciąć kobietę?

– Gryzą. Trzeba uważać na palce.

– Słyszałem co innego. Słyszałem, Źe ma pan szczególny dar osądzania winy, obywatelu.

Lepszy niŜ rewolucyjne sądy.

– Plotki, sire. Zabobony. Ja jestem, by ciąć.

– Mistrzu, pozwoli pan ze mną podpisać papiery – przerwał prefekt. – Potem chciałbym

panu jeszcze kogoś przedstawić.

Dourville przeszedł do kancelarii i podpisał niezliczone dokumenty dotyczące tuzina

skazanych.

– DuŜo.

– Nie mieliśmy dotąd rewolucyjnych sądów. Nazbierało się przez rok. Gdy przybył

prokurator Sarrate, od razu rozwikłał

spisek rojalistów. Nie zmęczy się pan?

– Szafot musi mieć poręcze. W zeszłym roku syn Sansona poślizgnął się w kałuŜy krwi

i złamał obojczyk. Ja chcę, Ŝeby wszystko było jak naleŜy.

– Rozumiem. Ale oto i nasz doktor. Mistrzu Dourville, to obywatel Lacroix, nasz

naturalista.

Chudy, wysoki jak tyka do grochu, blady jegomość uścisnął Dourville'owi dłoń, co ten

przyjął z zaskoczeniem, ale i pewną przyjemnością. Podobnie jak on, doktor nie gustował

w perukach i ściągnął włosy z tyłu głowy kokardą.

– Mistrzu Dourville, zaszczyci mnie pan rozmową? MoŜe napije się pan wina? Na pewno

pan zdroŜony.

– Do usług, sire.

Poszli do „Tłustej Gęsi” na samym rynku. Z zewnątrz dobiegał stukot młotów cieśli, którzy

zbijali szafot. Dourville położył kapelusz na stole. Zapalono świece. Doktor zamówił wino,

pasztet i ser.

– Co pan sądzi o skazanych?

– Nic nie sądzę, sire. Nawet ich nie widziałem. Dlaczego?

– Pański dar... Słyszałem o tym. Proszę wybaczyć, ale ja wierzę w rozum. W postęp.

W naszych czasach takie gusła nie powinny mieć miejsca. Z drugiej strony, to, co o panu mówią,

moŜe to jakiś dar natury... Wybacz mi pan kilka dziecinnych pytań?

– Proszę pytać, doktorze, ale za pozwoleniem, nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Od dziewięćdziesiątego trzeciego ścina pan na rozkaz rewolucyjnych sądów. Znajduje

pan winę w tych wszystkich ludziach? Ja jestem lekarzem, filozofem, przyrodnikiem. Nie

rozumiem tego, co się dzieje. Po co ta masakra?

– Niech pan pyta prokuratora Sarrate'a.

– Nie spieszno mi spotkać się z panem słuŜbowo. Rozmawiamy w cztery oczy, mistrzu. Ja

popieram rewolucję, bo to miały być rządy rozumu. Wolność, równość, braterstwo... A to, co się

dzieje teraz, mnie bardziej przypomina inkwizycję. Ledwo ten Sarrate przyjechał, zaraz

wygarnęli z szuflad prefektury donosy. Sąsiadka pisze na sąsiadkę, bo chłop się za nią ogląda.

DłuŜnik na wierzyciela. Brat na brata, bo jest drugi do schedy. Baba na młodą wdowę. A pan

będzie musiał ich ściąć. Ma pan opinię
sprawiedliwego. I jeszcze w jakiś
nadprzyrodzony sposób

rozpoznającego prawdę. Co pan zrobi?

– Jestem katem, doktorze, nie sędzią.
Nie ma co u mnie szukać
sprawiedliwości ani

miłosierdzia. A teraz, pan pozwoli, ale
położę się już. Muszę też rozmówić się
z cieślą...

– Błagam, niech pan siedzi. Źle
zacząłem tę rozmowę. Pan sądzi, że
jestem prowokatorem,

prawda? No, niechże pan usiądzie.

Mistrzu, niech pan posłucha. Słyszał pan o Bestii z

Chaverone?

– Słyszałem i cóŜ? Kto nie słyszał?

– To ja sprawiłem, Őe go złapano. Jest jednym z tych dwunastu. JeŜeli ktokolwiek zasługuje

na spotkanie z panem, to właśnie on. Chcę, by go pan zobaczył. Ale najpierw proszę, by pan

towarzyszył mi jutro do jego zamku.

– A po co?

– Niech pan obejrzy to, co tam znalazłem. Niech mi pan pomoże zrozumieć.

– Co pan chce zrozumieć?

– Naturę zła.

– Ludzie są źli z natury, doktorze. Nie muszę oglądać zamku jakiegoś szalonego barona,

żeby to wiedzieć. Nic w nich nie ma oprócz chęci zaznania przyjemności. Nic oprócz instynktu.

Kochają dzieci, bo kochają własne uczucie do nich. Swoją własność. Kiedy płaczą po czyjejs

śmierci, to tylko nad sobą. To jedyne zwierzęta zdolne do bezinteresownej podłości, które

potrafią to tłumaczyć wyższymi celami. Pan mnie pyta, jak to jest, że jeden, pańskim zdaniem,

zasługuje na śmierć, a ja zetnę dwunastu. A ja panu powiem, że śadnie z nich nie zasługuje na

śycie. Ten pański baron zabijał dziewczki dla zabawy, ale pozostali pewnie zrobiliby to samo,

gdyby wymyślili dostatecznie dobry powód. On miał choć tyle odwagi, by to robić dla kaprysu.

Sam pan mówił, że na nich donieśli najbliŝsi. Sąsiedzi, krewni. Przecieŝ ich zabili. Z zemsty,

zawiŝci albo chciwoŝci.

A czym od tej Bestii róŝni się choċby prokurator Sarrate? Oni tylko zabijają moimi rękami – ot, i

cała róŝnica. Ja, zresztą, pewnie zabiłem wiêcej ludzi niŝ on. I nikt mnie nie nazwie bestią.

Dlaczego? Bo robię to na rynku i podpisuję przedtem jakieŝ papiery? Wyborny pasztet, doktorze.

Dlaczego pan nie je?

– Pan nie wierzy w postęp?

– To niebezpieczne pytanie, doktorze.
Ale po prawdzie, ja zabijam postępowo.
Moją

machinę wymyślił humanista. Lekarz,
który chciał, by egzekucje były
humanitarne i szybkie.

Dobrze zresztą zrobił, bo jakieś dwa
lata temu ogłoszono go angielskim
szpiegiem i sam ją

wypróbował. Ale gdyby nie doktor
Guillotin, ścinałbym toporem. Niemcy
dalej tak robią i teŜ

jest dobrze.

– AleŜ to jednak jest postęp. Mgnienie oka i...

– Głowy Œyją w koszu, doktorze.

– Nie wierzę panu. Doktor Villers udowodnił...

– Kosze są pogryzione. Tyle panu powiem.

– Nonsens. Przecięcie rdzenia kręgowego...

– Są pogryzione.

Doktor Lacroix pokręcił z powątpiewaniem głową i napił się wina. Dourville przysunął

sobie świecznik i przypalił cygaro.

– A jednak proszę pana o pomoc. To nie zabierze wiele czasu. Niech mi pan towarzyszy do

zamku. Muszę zapytać o kilka rzeczy. Naprawdę, proszę mi wyświadczyć ten honor.

– Zgoda.

– A zatem jutro o świcie? Podstawię konie.

* * *

A potem długo w noc Dourville siedział sam w gospodzie „Pod tańczącym

kapłonem”

i patrzył, jak płomień świecy odbija się
w zielonkawym, grubym szkłe kielicha.
Przy sąsiednich

ławach siedzieli chłopi, kupcy i
mieszczanie. Nalane, czerwone pyski,
szerokie, bulwiaste

nosy, małe, świńskie oczka. Ludzie...
Cieszyli się na egzekucję. Jak wszędzie.
Jakaś zażywna

niewiasta w rozsznurowanej koszuli
wywodziła ogłuszającym, pawim
głosem, jak to ta „wydra i

ladacznicą Canardin posika się na sam

widok szafotu”. Patrzył na szczerbate
pieńki zębów,

wrzody i pryszczę na brudnej skórze,
słuchał ogłuszającego rechotu i
przygnębiających Śartów.

Patrzył, jak gryzą cebulę, jak rozdierają
pularde, jak czerwone wino cieknie im
po podbródkach.

Zupełnie jak krew. Takie same Śabio
półotwarte usta, te same puste,
wywrócone oczy pod

przymkniętymi do połowy powiekami.
Jak u ofiar Loisetty.

Jak głowy, które Śyją w koszu.

Nie miał po co iść na górę. Mógł tam napotkać tylko nabrzmiałe pogardą i bólem milczenie.

Ciszę dusznej izdebki. Siedział więc sam.

Jak przez całe Śycie. Tęsknił za Loissetą.

Najpierw widywał ją tylko w snach. Od lat. Najczęściej na kilka dni przed egzekucją.

Dziewczynę o rybio białej skórze i kędzierzawych włosach, odzianą tylko we frygijską czapkę i

postrzępioną spódnicę, tańczącą ze

śmiechem na szafocie. AŜ pewnego dnia spotkał ją w końcu.

To było jeszcze przed rewolucją. Zabijał wtedy złodziei, morderców, rozbójników. Topór,

koło, stryczek – stare, dobre metody. Miał wtedy swój dar. Widywał zbrodnie w snach, a czasem

na jawie. Przychodził nocą w towarzystwie prefekta i dwóch straŝników do celi, po czym,

milcząc, patrzył więźniowi w oczy. Pamiętał, jak skądś dobiegał go zapach jabłek, który czuł

tylko on. Głuszył odór więziennej
stęchlizny, pleśni, odchodów i zgniłej
słomy. A potem widział

obrazy. Przerazone oczy, rozwarte w
niemym krzyku usta, rozwiane suknie i
błyskające stopy

kobiety, uciekającej przez gęstwinę
bezlistnych krzaków. Miednicę pełną
krwi w chybotliwym

blasku kopącego kaganka albo
balwierską brzytwę we własnych,
oblepionych posoką palcach.

Czuł to, co oni czuli – ich gniew,
wściekłość, Śądzę i chciwość. Płonęły
w nim jak ogień. Zabijał

razem z nimi.

A czasem wiedział, że było zupełnie inaczej. Czuł odór ich drobnych podłości, tchórzostwa i

cwaniactwa, ale nie widział zabójstwa ani żadnej z tych rzeczy, za które mieli dać głowę.

Odwracał się wtedy i wychodził. A na stronie mówił prefektowi: „Nie ma w nim tej winy. Nie

należy do mnie. Sami go sobie ścinajcie”. A wtedy mądry sędzia Foulquet wydawał wyrok

uniewinniający. Kat odchodził do siebie

i przez następne dni czuł okropny
posmak dotknięcia

czyjejś duszy. Kwaśny, cuchnący i
obrzydliwy niczym skisły rosół.

Za to Corvignac słynęło z
najsprawiedliwszych we Francji sądów.

A potem runęła Bastylia. Rok później
przyszedł dekret Zgromadzenia
Konstytucyjnego

i Dourville zbudował swoją własną
„Narodową brzytwę”, jedną z
najlepszych w kraju. Składaną,

wielką, zbudowaną z najlepszego
drewna, pomalowanego na czerwono i

pociągniętego woskiem.

Z ostrzem, po które pojechał aŜ do Carcasonne.

Dziewczynę złapano na gorącym uczynku. Zwykła wędrowna dziewczka sprzedajna. Jakiś

kupiec podwiózł ją wozem i za pół solida posiadł w lesie na belach wełny. A ona potem wraziła

mu składany hiszpański nóż w kałdun i zabrała osiem liwrów srebrem i miedzią, które miał przy

sobie. Zabrała mu teŜ nogę, którą upiekła nad ogniskiem.

– Byłam głodna – oświadczyła przed sędzią, śmiejąc się. – A on już jej nie potrzebował.

Ktoś w osłupieniu zapytał, dlaczego nie zabiła i zjadła choćby konia, na co odpowiedziała, że

było jej śal zwierzęcia.

Dourville poszedł do jej celi właściwie nie wiadomo po co. Wszystko było jasne. Chciał

jednak zrozumieć. Poszedł sam. I w bezbrzeżnym osłupieniu zobaczył dziewczynę ze swoich

snów. A ona na jego widok zgarnęła

postrzępioną koszulę i przyciągnęła go do siebie.

Wziął ją w piwnicy, na garści zgniłej słomy, wśród harcujących w mroku szczurów

i odgłosu kapiącej ze stropu wody. W świetle pełgającego w okratowanej niszy łojowego

kaganka. W mdłym zapachu jabłek. I cały czas patrzył jej w oczy.

Loisetta...

Zobaczył, co chciał, i zrozumiał. Zabijał razem z nią. Patrzył w gasnące, przerażone oczy

męŒczyzn, kobiet i dzieci. Starców,
dziewcząt i kapłanów. Widział bryzgi
krwi i ogień poŒarów.

Ale nie czuł niczego poza płonącym
dziko Œyciem. Œadnej hipokryzji czy
chciwoŒci, Œadnego

tchórzostwa ani kłamstwa. Była jak
wilczyca. Kierowała się samym
kaprysem i instynktem.

Kiedy czegoŒ chciała, zabierała to.
Kiedy miała ochotę, rozkładała nogi.
Kiedy była głodna,

jadła. CzyjaŒ kurę, dziecko albo krowę.
Gdy ktoŒ stawał jej na drodze,
wyciągała zza koszuli

swój hiszpański nóż i zabijała. Szybko i brutalnie. Jak Śmija.

Darła mu grzbiet połamanymi pazurami, rzucała dziko biodrami i jęczała prosto w ucho:

jestem głodna! Głodna!

I cały czas płonął w niej jasny, huczący ogień Śycia.

Zgasił go nazajutrz, o wschodzie słońca spuszczać na jej smukły kark waśną ćwierć

cefnara ostrze. Kiedy jej głowa tkwiła już w bloku podtrzymki, widział, jak wywaliła na niego

lubieŚnie język.

A potem juŚ się od niej nie uwolnił.
Najpierw pojawiała się tylko w snach.
Potem juŚ

zawsze, kiedy tylko zamknął powieki.
Widział ją, jakby ktoś mu tam od środka
wymalował jej

miniatury. Widział ją zawsze, gdy tylko
zbliŚył się do swojej maszyny. Była tam.
Siedziała

w malowanym, nawoskowanym
drewnie, w stalowym ostrzu. Gdy
dotykał kolumn, miał uczucie,

jakby przesuwał palcami po jej

jedwabistym udzie.

W przerwach między egzekucjami czuł się coraz gorzej. Jak chory. Pojawiała się co noc

i krzyczała „jestem głodna”. Tańczyła przed nim i doprowadzała go do szału. Dopiero kiedy

napiała się krwi, dopuszczała kata do siebie.

Tylko raz.

Wtedy zorientował się, że robi się coraz potężniejsza. Gdziekolwiek wystawiano

„czerwony teatr”, pojawiała się

Loisetta. Stała w swojej czerwonej
czapce i krzyczała razem

z tłumem. Maszyna była dla niej jak
brama. Rewolucja sprzątnęła Boga,
moralność i wszelkie

hamulce. Zrobiła jej miejsce. Obudził ją
terror. Teraz Loisetta rządziła nie tylko
biednym

Dourvillem, rządziła Francją. I chciała
rządzić światem.

Nic nie mógł na to poradzić.

Tęsknił.

Słyszał, jak wokół rozmawiają o

egzekucji.

– A podobnie to ciało jeszcze Œyje.

– A jak Œesz nie, kumie? Jak tnę kurę, to przecie ona biega. Tak i uny by biegały, jakby ich

mistrz nie przypinali.

– Tak powinny robić, nie? To by było śmiechu. Zobaczyć, jak dobrodziej Dullac lata tak po

rynku bez łba!

Rehot.

– A mistrz ju Œ zjechali?

– A jakŜesz nie, jak machina juŜ na rynku?

– A to nie wiecie, Ŝe ony tu w gospodzie siedzą?

– JakŜesz? W naszym „Kapłonie”? Tfu!

– Ciszej, kumie, bo usłyszą. Straszny jest. PodobnieŜ jak człeka ślepiami przewierci, to

wszystko o nim wie.

– Ale Ŝeby pomiędzy ludziami siedział, to tak dawniej nie bywało! Tfu! Ja tu juŜ nic nie

zjem. Przeklętnik moŜe krwawymi

łapami stołu dotykał.

– Chodźta, chłopcy. Do „RyŜego kozła”
pójdziem.

Dourville dopił resztę wina i poszedł
spać bez kolacji. W gospodzie i tak nie
było juŜ

niemal nic do jedzenia. Wojna.

* * *

Doktor przybył, jak obiecał, o świcie.
Dourville siedział w karczmie na dole i
jadł chleb

wkruszony do cienkiej kawy. PoŜywne,
wojenne śniadanie patriotycznego

Francuza, zalecane

przez Komitet. Jajek i mleka i tak zabrakło.

– Po co panu pistolety?

– Na wszelki wypadek. Właściwie dla spokoju ducha.

– Nie rozumiem, to nie ma tam
Ŝandarmów?

– Są, oczywiście. Pistolety zabieram dla siebie, Őeby lepiej się czuć. Zobaczy pan.

Konie stały juŜ na ulicy, trzymane przez pachółka. Ciągłe było szaro i mŐyło.

Dął

nieznośny, zachodni wiatr. Dourville otulił się podróżnym płaszczem i pojechali.

Z miasta wyjechali bitym traktem, wiodącym na wzgórze. Wszystko stało w rozmytej

szarości mgły i burej zieleni pastwisk. Na mokrych drzewach krakały wrony.

– Zaczęło się dawno. Jeszcze za panowania Ludwika. Zrazu tylko chłopcy powiadali, że złe

mieszka w tych lasach. Czasem ginęły dzieci, potem dziewczki. Początkowo

jedna, dwie na rok.

Chłopi bredzili o diable, a my o wilkach, cyganach i zbójcach.

Opowiadali, że zły jeździ kareta po

leśnych drogach, a która go spotka, to rzuci na nią urok. I ona staje się dziwna, jakby obłąkana, a

potem odchodzi nie wiadomo gdzie i już nie wraca. Później była przerwa przez parę lat i nastał

spokój.

Teraz łatwo zmiarkować, że diabeł, znaczy młody pan Collers de Chaverone, bawił wtedy

za morzami. DuŜo podróŜował. Wrócił tuŜ przed rewolucją i znowu się zaczęło, ale juŜ na

całego. Na okolicę padł strach. Zaczęli ginąć podróŜni, młode dziewczki i niewiasty z okolicy

przepadały jedna po drugiej. Bestię widywano co i rusz. A to w czarnym powozie, zaprzęŜonym

w kare konie, a to jako samotnego, ubranego na czarno jeźdźca w szkarłatnym płaszczu. Nikt nie

widział nigdy jego twarzy. A ściślej, wielu widziało, tylko kaŜdy inną. Dopiero potem

zorientowałem się, że idzie o weneckie maski. Pan wie, jak wyglądają takie maski? A w oczach

chłopa, co nigdy nic takiego nie widział?

śandarmi snuli się po lasach i wsiach, ale jakoś nie mogli na niego trafić.

Natomiast

baronet, który świeżo został panem na włościach, hulał. Wydawał bale i pikiety i właśnie podczas

maskarady zobaczyłem go w szkarłatnym płaszczu i weneckiej masce, w trójgraniastym

kapeluszu. Wtedy pojąłem. Mało kto słuchał chłopów, ale ja tak, bo chodziłem ich leczyć.

Baronet był bogaty, wielu do niego jeździło w gości. Pan wie, jakie wtedy były zabawy i co się

tam działo. Potem przyszła rewolucja i przyjaciele pana de Chaverone jeden po drugim lądowali

w twierdzy albo na szafocie. Paru ścięli w Lyonie, a jednego aŜ w ParyŜu. Ale nie baroneta. On

był wtedy pierwszym rewolucjonistą. Źyrodystą. Przyjacielem samego Dantona. Nic go nie

mogło ruszyć. Jeździł do ParyŜa,
dysputował z Maratem. Sądzę zresztą,
Ŝe to on go

zasztyletował. Ja w tym czasie
notowałem zeznania, myślałem i
zbierałem ślady. Trochę z

nudów, a trochę dla eksperymentu.
Chciałem popróbować nowej metody
rozumowania. Ot,

bawiłem się. Tropiłem legendarną
Bestię. Rysowałem portrety diabła pod
dyktando chłopów.

Spojrzałem później na te najlepsze i
osłupiałem. Wyszedł mi baronet podczas
swojej maskarady.

Wziąłem kiedyś mapę i zaznaczyłem wszystkie miejsca, gdzie zniknęły kolejne ofiary te,

o których wiadomo było, gdzie przepadły. DuŜo tego było. Jak mgławica. Wszystkie jednak

zamknęły się w wielkim kręgu, mającym z pięć mil. Wziąłem potem cyrkle i linijki i wyliczyłem,

gdzie ma środek. Wyszedł dokładnie na zamku. Na zamku Chaverone. A oto i on.
– Doktor

zatrzymał konia.

Zamek stał na łagodnym wzgórzu,

górując nad pastwiskami, otoczony
niewielkimi,

szarymi skałami. Był stary. Bardzo stary.
Wielokrotnie go przebudowywano,
czerpiąc elementy z

kolejnych architektonicznych mód, ale
pod wszystkimi nowoczesnymi faunami,
driadami i

kolumnami widać było jeszcze mroczną,
prostą bryłę z ciosanego kamienia i
ośmiokątny donŜon,

sterczący nad okolicą jak kamienny
palec. Mur obronny był równie stary, ale
obrósł pnącymi

róŜami, a jego szczyt obudowano nowoczesnymi, falistymi blankami.

Przed furtą stało kilku Őandarmów. Doktor zeskoczył z siodła i bezceremonialnie rzucił

wodze jednemu z nich. Dourville przeciągnął się jeszcze, bo od jazdy rozbolał go krzyŜ, i teŜ

zsiadł.

– Ktoś wchodził do środka? – zapytał Lacroix surowo.

– Ten młody porucznik – powiedział sierŜant niepewnie. – Mówiłem mu, Őe pan doktor

zabronili. Teraz rzyga pod ścianą.

Doktor odpiął swoją sakwę, pogrzebał w niej chwilę, wreszcie podał konstablowi mały

flakonik.

– Dajcie mu powąchać, ale nie przysuwać za blisko do twarzy. Niech otrzeźwieje. Potem

niech przyjdzie do mnie. Dam mu łyk rumu z laudanum.

Weszli na dziedziniec.

– Doprowadziłem do jego aresztowania tylko dzięki temu, Œe zaczęły się procesy

Ŝyrodystów. Ale juŜ słyshałem
pogłoski, Ŝe zdąŜył znaleźć potężnych
przyjaciół wśród

jakobinów. Zaraz się okaŜe, Ŝe jest
niewinny. Trzeba było panu widzieć, jak
wił się Sarrate.

Tylko w tym przypadku miał
wątpliwości. Przekonał go dopiero lud z
widłami pod merostwem.

– Ma czas do jutrzejszego Ŝwitu –
zauwaŜył sucho Dourville, podciągając
pończochę.

W Ŝrodku zamek wyglądał jak kaŜda
rodowa siedziba. Posadzki, draperie,
wazy

i biało-złote meble. Krzesła. Mnóstwo krzesel. Portrety.

Przy fortepianie ktoś siedział.

Porucznik Sandarmerii. Kaszkiet odstawił na wieko instrumentu i brzdąkał jednym palcem

jakąś monotonna, smutną, dziecięcą melodyjkę. Kiedy podeszli bliżej, stwierdzili, że oczy ma

pełne łez.

Szli po jakichś kręconych schodach w starej części domu, wwiercających się gdzieś w głąb

ziemi. Wokół wszystko było misternie rzeźbione w łuki, obrosłe sterczynami i pinaklami, rozety i

płomienie. Bardzo stare.

– Tu jest pełno korytarzy – tłumaczył doktor, idąc przodem. – Nie zgadzało mi się, kształt

budynku sugerował więcej pomieszczeń, niż można znaleźć w środku. Jesteśmy na miejscu.

„Na miejscu” oznaczało wnękę na zakręcie korytarza wiodącego znikąd donikąd. W niszy

stał posąg, przedstawiający rycerza w

pełnej zbroi, trzymającego dwa
skrzyżowane miecze.

Doktor umieścił świecę w ściennym
lichtarzu i wsunął trzy palce prawej
dłoni w trójkątną

rozetę na ścianie. Rozległ się metaliczny
trzask.

– Mistrzu, widzi pan tego gargulca,
niech pan go weźmie za łeb i pociągnie
porządnie do

siebie.

Dourville usłuchał i w odpowiedzi
znów rozległ się szczęk starego,
zapiaszczzonego

mechanizmu.

– Teraz musimy obrócić niszę z rycerzem i mamy przejście – oświadczył przyrodnik.

Nisza okazała się walcem, który musiał, zdaniem Dourville'a, chodzić na Œelaznej osi, bo

obracał się wcale lekko.

– Czuje pan?

– Stęchła krew, zepsute powietrze, trupi odór, woda róŜana i kadzidło – wyliczał Dourville. –

Umarły by poczuł.

– Chce pan chustkę na twarz?

– Raczy pan Őartować, doktorze? Co byłby ze mnie za oprawca, gdybym się bał smrodu?

Mój fach śmierdzi gorzej niŜ zajęcie garbarza. Gdzie idziemy? To jakaś kaplica?

– Tak. Stara kaplica. Wchodzimy ukrytym wejściem przez nawę boczną, bo główne zostało

zamurowane. Tak dokładnie, Őe nawet śladu pan nie zobaczy. W dawnych czasach zamek naleŜał

do starodawnej heretyckiej sekty –

albigensów. Nie wiem, czy mieli jakieś kaplice, ale to

pomieszczenie jest z ich czasów.

Następnie zamek przejęli templariusze.

Potem była tu rodowa

kaplica Collersów de Chaverone, a teraz – to.

Wysoka nawa główna, okolona kolumnadą, przywodziła na myśl kościół. Stał tam nawet

ołtarz, ale na tym koniec. W Śadnym kościele nie ozdobiono by ścian tak wyuzdanymi rzeźbami,

w Śadnym posadzki nie pokrywałyby

kabalistyczne kręgi i w Śadnym nie
byłoby odwróconego

krzyŜa. Na ścianie za ołtarzem na
niewielkiej półce stała na srebrnej,
wysadzonej szmaragdami

podstawce odcięta głowa, bez śladów
rozkładu, opatrzona napisem „Caput
XVII”.

– Pod nami są krypty, w których
znalazłem szczątki czterdziestu kobiet.
Część z nich była

krzyŜowana. Z części ocalały tylko
kości. Strzępy, kawałki. Nie wiem,
jakim sposobem. Widzi

pan, mistrzu, ten ołtarz? Zwracam uwagę na te rowki, prowadzące do basenu w podłodze, na

obręcze na brzegach. Na ten kształt, wyślóbiony na środku. Coś to panu mówi?

– To było łosze tortur, nie saden ołtarz – oznajmił Dourville głucho. – Te kanaliki miały

odprowadzać krew. Zbierano ją w basenie i coś z nią robiono.

Powąchał kielich zrobiony z dolnej połowy czaszki.

– Pito ją. Między innymi. Mośe się w

tym kąpał?

– Pan baron bawił się tu w jakąś sektę –
oznajmił lekarz. – Krwawe ofiary,
zbezczeszczone

krucyfiks, znaki. Czczyciele ognia
piekielnego i takie tam nonsensy.
Spotkałem się z tym wiele

razy, ale w większości była to tylko
głupia zabawa i pretekst do wyuzdanej
orgii. Tu jednak było

inaczej. I pan baronet bawił się sam.
Pozwoli pan dalej. Nie to chciałem panu
pokazać.

Uniósł świecę i ruszył w głąb

pomieszczenia, stukając obcasami.
Dourville poszedł za nim.

– Miał szerokie zainteresowania –
oznajmił lekarz z drwiną. – Nie tylko
„religia”. TakŜe

sztuka. Proszę. Oto madonna z
dzieciątkiem, lecz pierś matki jest
otwarta, a karmi własnym

sercem, widzi pan? Piękna metafora
macierzyństwa. Oto, jak sãdżę, apoteoza
dziewiczej

niewinności. Dość nieprzystojne,
zwaŜywszy, gdzie umieścił szczęki. A tu
sielska pastereczka.

Jest i Atena, i Skrzydlata Nike. Proszę zwrócić uwagę na skrzydła. Są zrobione z tkanki płuc.

Pomysłowe, prawda? Jest ich więcej. Jak w Luwrze.

Dourville przez chwilę myślał, że to, co widzi, to faktycznie rzeźby. A potem postukał

ostrożnie jeden z rzekomych posągów.

– Nie wiem dokładnie, jak to robił. Tu są jakieś wanny, widzi pan? W środku, w tamtych

szklanych balonach coś, co jest przezroczyste jak woda, ale zastyga

niczym Śywica. Moczył

zwłoki, potem ustawiał kształty, ciął,
zszywał, wywlekał narządy. A ta jego
szklana woda powoli

zastygała i powstawały rzeźby. Gdyby
wynałazł to ktoś godny
człowieczeństwa, taka rzecz

mogłaby być bardzo pożyteczna. Można
by tego używać do badań
przyrodniczych albo

medycznych. Można by konserwować
przedmioty. Ale ta tajemnica przypadnie
razem z nim. Ja

nawet tego nie dotknę.

Dourville milczał i wciąż patrzył na
młodziutką, ładną pastereczkę, spowitą
w peplum

i trzymającą na dłoni własne oczy.
Milczał i czuł, jak zaciskają mu się
szczęki.

– A teraz nauka – oznajmił Lacroix
sucho. – To zabolalo mnie najbardziej.
Człowiek

religijny zobaczy tu drwinę z własnego
uczucia i wiary. Artysta ze swojej sztuki.
Pan sam,

mistrzu, znajdzie tu własne rzemiosło
obrócone w okrutną zabawkę. Ja
zobaczyłem zmałpowaną

wiedzę.

Pchnął wielkie, rzeźbione odrzwia i
wszedł do następnego pomieszczenia.
Obszedł ściany,

zapalając świece.

– Badał naturę ludzką – oznajmił. –
Umiejętnie. Za pomocą eksperymentu.
Robił notatki.

Nie czytałem ich dotąd dokładnie. I tak,
odkąd tu wszedłem pierwszy raz,
zaŹywam juŹ

czterdzieści kropli nalewki z laudanum
dziennie. To, co pan tu widzi, to
preparaty naukowe.

Skatalogowane, opisane i zakonserwowane w słojach. Ja tak trzymam Śaby i jaszczurki, on

trzymał dzieci. Tutaj oczy. A to w gablotach to nie są motyle. To uszy. Szukał prawidłowości,

jakby klasyfikował gatunki. To jednak drobiazg. Nie rozumiem jednak przeznaczenia tych

urządzeń. Podejrzewam, Śe pan mi wyjaśni.

Dourville przyjrzał się maszynom, przeszedł się po pomieszczeniu, czasem poruszył jakąś

dźwignię, śledząc liny i wielokrąski pod sufitem.

– Nie wie pan, czy zawsze znikwały pojedyncze dziewczęta i dzieci?

– Nie. Kilka razy młode matki, nawet z kilkorgiem dzieci, rodzeństwo, kiedyś młodzieniec z

dziewczyną, paru mężczyzn w sile wieku, dwa razy razem z dziećmi. Przepadały te stare baby,

róźnie.

– Widzi pan to urządzenie? To szubienica dwuramienna. Dość sadystyczna, sądząc po

węźle sznura. Do tego zapadnia otwiera się powoli. Nie skręci karku. Udusi. Nie w tym rzecz.

W tej klatce mógł zamknąć matkę, a na szafocie stawiał jej dzieci. Widzi pan tę dźwignię? Albo

jedną zapadnia, albo drugą, albo obie. Kazał jej wybierać, które dziecko ma zginąć, a które być

może ocaleje. Nie mogła czekać, bo tutaj przesypywał się piasek. Kiedy się skończył, otwierały

się obydwie zapadnie. Mogła zablokować tylko jedną. Albo proszę spojrzeć teraz, jak wysoko

jest pętla. Stawiał tu człowieka, a na jego karku drugiego. Kiedy pierwszy upadł albo się

poruszył, ten, którego miał na ramionach, zapewne mu bliski, musiał zawisnąć. A poruszyć się

prędzej czy później musiał, bowiem stał na tych kolcach. Jak pan powiedział, badał naturę

ludzką. Charakter i siłę uczuć. Miłości, oddania. Większość tych urządzeń działa w ten sposób,

ale są teŜ zwyczajne narzędzia tortur. Klasyka. Objasnić? To, na przykład, jest bocian. Zwykłe

sztaby i kajdany, ale dość zakuć w to człowieka, by w krótkim czasie cierpiał na potworne

skurcze mięśni. To but hiszpański, ale bardzo mały. I te wszystkie klatki. Były po to, by ofiary

musiały patrzeć na mękę najbliższych.

– Prowadził tu wiwisekcje – powiedział Lacroix. – I wszystko sobie notował. Naturalista.

Widziałem dość.

– Co pan z tym zrobi?

– Już rozmawiałem z prefektem. Część

ciał oddamy rodzinom i wyprawimy pochówek.

Zaś ci obróceni w rzeźby...

Sprowadzimy tu kapłana, który przeprowadzi potrzebne obrzędy,

pochowamy ich gdzieś po kryjomu, a potem wysadzimy cały zamek prochem.

– Kapłan? Obrzędy? Zrobił się pan religijny, doktorze?

– Nie wiem, czy zacząłem wierzyć w Boga. Za to w diabła na pewno.

* * *

Siedzieli w przydrożnej karczmie, z

dala od innych, jak dwóch spiskowców.
Dourville

patrzył na swoje ręce i milczał. Doktor
w takim samym milczeniu pił wino, do
którego wpuścił

kilkanaście kropel z małej buteleczki.

– Nawet pan nie wie, o co pan prosi,
sire.

– Nie chce pan zrozumieć?

– On mi nic nie będzie objaśniał,
doktorze. Ja to poczuję. Nie jestem
zacnym człowiekiem,

ale w jego skórze nie chcę się znaleźć

nawet przez chwilę.

– To już pan nie sądzi, że wszyscy ludzie są źli? Co to za różnica, ten czy tamten?

– Powiedzmy, że moje przekonanie o tym, że wszystko już widziałem, trochę się zachwiało.

Wierzę, w co wierzę, ale, doktorze, ja też jestem człowiekiem. Pan wierzy, że postęp wydobędzie

z ludzi dobro, ja, że ludzie są z gruntu źli. A mimo to obaj wyszliśmy stamtąd przerażeni.

– Bo obaj ujrzeliśmy czyste zło. To, w

które rzekomo obaj nie wierzymy, tylko
kaŜdy

inaczej. Naprawdę będzie pan potrafił
dalej zrównać kaŜdą ludzką słabość z
tym, coś pan dziś

zobaczył?

– Zobaczyłem tylko jedno, w co dotąd
nie wierzyłem. Krew na tych
podwójnych szafotach.

Oni tam stali duŜo dłuŜej, niŜ jest w
ludzkiej mocy, doktorze. Wiedzieli, Ŝe
śmierć przyniesie im

ulgę, a mimo to dalej stali. Bez końca.

Podczas montażu maszyny zebrał się taki tłum, że szafot trzeba było otoczyć sandarmami.

Dourville wraz z Barnabą i Ludwikiem mogli zamontować Loissetę w pół godziny. Pracowali

powoli, metodycznie i dokładnie. Kliny trafiły na swoje miejsca, zastrzały pasowały idealnie.

Ułożyli obciążnik podwieszony na dwóch linach, Dourville osobiście naoliwił zamki, unieśli

i postawili trzysięniowe ramiona. Na

kaŝdy ruch tłum reagowaÅł szemraniem i okrzykami. Kiedy

otworzyli skrzyniÄ i wyjÄli trÅjkÄtne ostrze, spoczywajÄce na obitych suknem uchwytach,

wybuchyÅ owacje.

Dourville sprawdziÅ wasserwagÄ, czy podest jest idealnie pÅasko, i zmarszczywszy brwi,

kazaÅ lekko podkrÄciÄ jednÄ stronÄ maszyny. Potem sprawdziÅ pionem murarskim, czy sÅupy sÄ

idealnie prosto. Deska gÅadko stawaÅa do pionu i kÅadÅa siÄ na ÅoÅu, trafiajÄc

równy między

ramiona. Bloki podtrzymki unosiły się i opadały bez zacięć.

– Przy zamkach węzeł marynarski, przy dźwigni podwójny – przypomniał Barnabie

surowo.

Ustawili pierwszy kosz i zabrali pokrywę.

– Nie Śałuj trocin – powiedział Dourville. – Syp teŚ wokół podstawy. Tniemy tuzin. Będzie

ślisko.

Przygotowali pozostałe kosze i wiadra z wodą do umycia Loisetty.

A potem kilkoma obrotami koła wciągnęli ostrze na samą górę, aŜ po podwójny trzask rygli.

Tłum zamarł w oczekiwaniu. Barnaba sprawdził i naoliwił prowadnice w zupełnej ciszy,

przerywanej tylko krakaniem wron. Wyprostował się, a wtedy Dourville zwolnił zamki. Ostrze

runęło w dół z hukiem i zatrzymało się na wypchanych włosiem amortyzatorach obitych bawolą

skórą.

Wszystko było gotowe.

Tłum ryknął, a Dourville'owi wydało się, że słyszy tylko głos Loisetty. Jestem głodna!

* * *

Bestię z Chaverone osadzono w osobnej celi na końcu korytarza. Szli we trzech. Dourville,

doktor i strażnik w krótkiej, kurtce, z pękiem kluczy przy pasie.

– Tam do niego ksiądz dobrodziej weszli. Jakby diabłu była potrzebna

ostatnia posługa.

Mówiłem, niech tam przy nim stanie konstabl z pałaszem, a ten nie i nie.

Drzwi otworzyły się nagle z hukiem i ksiądz, chudy i stary człowiek, wytoczył się na

zewnątrz. Za nim nagle wyleciał krucyfiks i huknął o ścianę.

– Mówiłem: nie pokładaj w tym nadziei, bo to jest za młode! – krzyknął ktoś z celi.

Ksiądz trzymał się za głowę, a potem ruszył, zataczając się, jakby był pijany albo obity.

Z ust wydobywał mu się tylko głuchy, przeciągły szloch. Nawet nie spojrział na krzyś, leśący na ziemi.

– Zapamiętaj: Sangrail! Święta krew! – krzyczał de Chaverone.

– Przecieś tak się nie godzi – zamruczał straśnik, podnosząc krzyś, ale duchownego nie

było juś w korytarzu. – Najświętsza panienko – jęknął. – Całkiem dobrodziej posiwieli. W jednej

chwili.

– MoŜe jednak niech pan nie wchodzi –
zauwaŜył Lacroix.

– Trudno. Teraz to juŜ sam jestem
ciekaw.

– Wystarczy, Ŝe pan uderzy w drzwi.
Będziemy czekać. – Lekarz wyjął
pistolet i sprawdził
panewkę.

Za Dourvillem zamknęły się drzwi.

Kiedy oczy przywykły do półmroku,
zobaczył męŜczyznę siedzącego
wygodnie na ziemi,

z rękoma skutymi łańcuchem

umocowanym do ściany. Nie widział szczegółów, tylko ciemną

plamę i oczy, lśniące niczym u kota.

– Był już ksiądz, teraz kto? Ale dziś korowód gości. Niestety, nic nie mogę zaproponować

krom tej wody z dzbana. Znakomity rocznik, doprawdy. Zaraz, zaraz, przyjacielu. Pachniesz mi

jakoś znajomo. Byłbyś katem? Onym mistrzem z Corvignac, o którym wszyscy gadają? No, z

tobą przynajmniej miałbym o czym mówić, nie jak z tym klechą. My

przynajmniej mamy

wspólne zainteresowania. Tylko Œe ty zabijasz te robaki bezmyŒlnie, a ja robię to dla wiedzy. I

przyjemności. Ach! Jeszcze jedno mamy wspólne – dodał baron. – Jedną kochankę. Naszą

słodką! No, to naprawdę zbliŒa ludzi! Ale to ja połączę się jutro z Loissetą, nie ty, mój panie.

Trudno, wybrała lepszego.

Dourville milczał, postąpił tylko krok naprzód i spojrzał tamtemu w oczy, czując, jak

ciasny loch wypełnia słodki, głęboki
zapach jabłek.

* * *

– Co panu jest? Dourville! Dajcie wody!

– Czy Śyje?

– Nie wiem, przestańcie się tłoczyć.
Powietrza! Wynieście go na powietrze!

„Nic mi nie jest” – chciał powiedzieć
Dourville, ale jakoś nie mógł. Czuł się
stary. Bardzo

stary. Jak te kamienne płyty, na które
potokami ciekła krew w Circus
Maximus. Jak dzidy,

którymi dźgano Hugenotów przy blasku
pochodni. Jak mury Mastaby, oglądające
Ŝydowskich

wojowników, spychanych przez równe
płoty pilum Legia Fulminata. Jak
piramidyodrąbanych

głów, z których kapłani Al Mansura
wzywali swojego boga o zmierzchu. Jak
Loisetta, tańcząca

na trupach i w strugach posoki,
wszędzie, gdzie była masakra. Była
bardzo stara. Jej czas juŜ

kiedyś przeminął, ale miał jeszcze
nadejść. Loisetta czekała. Była głodna.
A przez inne morza

krwi podąŜał za nią jej ukochany, na
początku czasów stojący przy jej tronie.
Rogaty bóg łowów.

Szukali się.

śrący odór amoniaku uderzył go prosto
w nozdrza i oczy. Oczy, które w jednej
chwili

zobaczyły więcej krwi, poŜogi i
śmierci, niŜ ktokolwiek przez całe
Ŝycie. Dourville ocknął się.

Zebrał się w sobie i otarł krew, sączącą
się z nosa.

– Wina... dajcie wina.

Usiedli w „Tłustej Gęsi”. Dourville tępo patrzył, jak doktor troskliwie odmierza mu mętne,

białawe krople do kielicha z rumem. Sięgnął do kieszeni i drŜącymi palcami wydobył cygarnicę.

– Co tam się stało? – spytał Lacroix.

– Pierwej: ile tam byłem? Ile, do świtu?

– Świtu? Minuty to nie trwało! Mówił z panem?

– To nie tak... Ja widzę... obrazy.

– I co pan widział?

Dourville pokręcił w milczeniu głową i jednym haustem wypił rum z dziwacznym, obco

pachnącym dodatkiem.

– Niech mi pan powie jedną rzecz. Kim lub czym jest ten potwór?

– Nie uwierzy mi pan. Rzekłbym, że diabeł, ale... naprawdę nie wiem, czym.

Doktor poklepał go po ramieniu.

– Odwagi, mistrzu. Jutro zetnie go pan i wszystko się skończy.

– Nie – odparł Dourville. – Nie skończy się. Będzie tylko przenosić się z miejsca na

miejsce. A kiedy go zetnę, doktorze, stanie się jeszcze silniejszy.

Doktor popatrzył na niego nieruchomo.

– Przeżył pan zbyt silne wzruszenie. Stanowczo musi się pan położyć.

Dourville chwycił go nagle za surdut.

– Widziałem, co przyjdzie potem, doktorze! Widziałem ludzi w ubraniach w pasy,

zabijanych dymem! śelazne ciernie!

Muszkiety małe jak dłoń, co strzelają
bez nabijania!

Widziałem okręty w chmurach, lejące
ogień! Ludzi wrzucanych do rowów na
stosy ciał! – Po

twarzy kata płynęły łzy. – Loisetta
odeszła... Moja Loisetta.

* * *

Nazajutrz deszcz ustał zupełnie, a tłum
na placu Bławatnym zebrał się już w
okolicach

laudy, a przy jutrzni szpilki nie dałoby
się wetknąć. Od szafotu odgradzał go
szpaler ^{hat}Sołnierzy

z załoŜonymi bagnetami, w wysokich kaszkietach ozdobionych republikańskimi kotylionami.

Sprzedawano gorące kasztany, pieczone kartofle i owoce w cukrze.

Kieszonkowcy przemykali

dyskretnie, pracując juŜ od nocy.

Dourville stał na szafocie i wyglądał zupełnie spokojnie. ZałoŜył swój zwykły strój: krótki

Ŝakiet, pantalony, koszulę, frygijską czapkę i pończochy. Wszystko w nakazanym, starodawnym,

zapomnianym juŜ prawem kolorze

byczej krwi. W zębach trzymał fajkę i milczał. Rozglądał się

po wpatrzonych w niego twarzach, zbitych ciasno jak kamienie bruku, jakby kogoś szukał.

Barnaba i Ludwik nosili się na czarno, tylko koszule mieli zwykłe, białe. Czekali.

Kiedy nadszedły wozy, tłum był już znużony i zniecierpliwiony. Gapię zaczęli wyć

i gwizdać, ale na widok wozów uspokoili się.

Potem było jak zawsze. Niektórzy ze

wszystkich sił trzymali się dzielnie, ale na widok

strzelającej w niebo, lśniącej czerwienią maszyny i sinego ostrza w jednej chwili wpadali w

panikę. Trzeba było wlec ich po schodach szafotu, kopiających i wyrywających się jak

spanikowane zwierzęta. Ogłuszający łomot werbli i ryk tłumu głużył ich krzyk i wołania o

pomoc.

Dourville pracował jak przy młócce albo we młynie. Kilka czynności.

Pomocnicy

szafotowi przejmowali delikwenta od
Ŝołnierzy, Ludwik pchał go na deskę,
Barnaba zapinał

pasy, deska opadała na zawiasach,
spadał blok podtrzymki, Ludwik juŜ
czekał przy koszu,

przytrzymując skazanego za uszy.
Dourville w zapadłej ciszy zwalniał
zamki. Wizg, łomot,

miękkie, pusty dźwięk głowy spadającej
do kosza. Raz, dwa, trzy. Czekał, aŜ
Ludwik pozwoli

wsiąknąć krwi w trociny i poda mu

głowę na krótkiej Œelaznej pice. Obnosił ją wokół szafotu,

pokazując tłumowi, ale patrzył tylko na twarze.

Szukał Loisetty.

Następny. RóŒnie to szło. Niektórym nogi odmawiały posłuszeństwa, niektórzy

wymiotowali, niektórym nie wytrzymał pęcherz. Płakali, mdleli albo maszerowali dzielnie,

szttywno, usiłując zachować do końca twarz. Dourville widywał juŒ takich, którzy tańczyli na

szafocie, śmiejąc się histerycznie.

Topór wędrował pod niebo i po minucie opadał z łomotem. Po uniesieniu ostrza Barnaba

podstawiał wiadro pod rynienkę, ale szafot i tak był już cały zbryzgany i śliski. Poręcze całe

szczęście zostały dobudowane i musieli z nich co chwila korzystać.

Przez cały ten czas baron Collers de Chaverone siedział wygodnie na wózku i czytał

książkę.

Dourville pracował z nieruchomą twarzą. Tak jak przy młócce albo we młynie.

I gdzieś w połowie roboty ją wypatrzył. Stała w tłumie, miała swoją frygijską czapkę,

ozdobioną republikańską kokardą. Loisseta... Moja ukochana...

Musiała przyjść. Była głodna.

Wóz z trumnami obrócił pod szafot trzeci raz, krew płynęła już ryszotkiem. A kiedy

przyszedł czas na ostatniego skazanego, na Bestię z Chaverone, baron zagiął róg

kartki i zamknął

swoją ksiąŜkę. Kiedy wszedł na podest, wręczył tom Dourville'owi, który przekładał ją z ręki do

ręki, aŜ wreszcie połoŜył na zbryzganym szafocie.

Zanim przypięto barona do deski, przeciągnął się, aŜ trzasnęły mu stawy, i ułoŜył

wygodnie.

Kiedy jego głowa tkwiła juŜ w bloku, Dourville usłyszał, jak tamten szepce „Pocałuj mnie,

Loisetto”, i szarpnął za sznurek
zwalniający zamki.

Potem, kiedy obnosił głowę na pice,
widział wyraźnie, jak powieki tamtego
drgają, a na

ustach powoli wykwita upiorny,
drapieżny uśmiech.

* * *

Byli już spory kawał za miastem. Wóz z
Loisettą, Dourvillem i oboma
pomocnikami,

kolasa z milczącą, bladą jak opłatek
Justyną i małym Filipem. Doktor dogonił
ich po ponad mili.

– Słyszał pan?! W ParyŜu ścięli Robespierre'a! Teraz masakra rychło się skończy!

Dourville wyjął fajkę z ust i odezwał się po raz pierwszy od dwóch dni.

– Nie skończy się. Przeniesie się gdzie indziej. Nigdy nie będzie temu końca.

* * *

A jednak terror przycichł i po powrocie do Corvignac nie było dla niego roboty. Zamiast

jak dawniej siedzieć w szynku, polować albo choćby pić, Dourville siedział w ogrodzie i spał

albo patrzył na kamienny budynek, w którym spała Loissetta. Mógł teŜ godzinami siedzieć z

ksiąŜką, którą dostał od barona, zatopiony w lekturze, nie pokazał jej jednak nikomu. Na

wymówki Justyny nie reagował wcale, zupełnie jakby jej nie słyszał. Jadł niewiele i z musu,

włóczył się tylko po okolicy, zarośnięty i brudny, i mruzczał coś do siebie.

Pił tylko wodę z laudanum, lecz choć buteleczka, którą ofiarował mu Lacroix, była

pokażna, wkrótce miała pokazać dno.

Rzadko się odzywał, patrzył tylko w dal, a jeśli coś mówił, to najczęściej do siebie.

Zazwyczaj: „Wróć, Loisetto”.

A pewnego dnia Justyna wyszła przed dom o świcie i w najwyższym osłupieniu zobaczyła

lśniąca czerwienią maszynę, stojącą na ich brukowanym podwórku.

Źe nie jest to śladna konserwacja ani kolejny wybryk jej szalonego męża, zakochanego

w swojej maszynie śmierci, zrozumiała, gdy wyrósł za jej plecami i jednym ruchem pchnął ją na

deskę, po czym zaciągnął pasy. Kobieta po chwili przestała się szarpać i zaczęła odmawiać

„Zdrowaś Mario”. Była ledwie w połowie, kiedy obciążnik topora uderzył o amortyzatory.

Dourville uprzątnął ciało i splukał podstawę i bruk podwórka kilkoma kubłami wody.

Wrócił na chwilę do domu i przyniósł sobie długi sznur od kotary. A potem, mając już głowę

złóŜoną na bloku podtrzymki, zanim
zwolnił zamki, powiedział tylko:
„Pocałuj mnie, Loisetto”.

Napisał Jarosław Grzędowicz